

PROMIEN



PISMO MŁODZIEŻY GIMNAZJALNEJ

NR. 3.

LISTOPAD 1936 R.

ROK XII.

— Silniejszy jestem, cięższą podajcie mi zbroję! —

PROMIEŃ

Miesięcznik Młodzieży Gimnazjum Im. I. Marszałka Polski
J. Piłsudskiego w Ostrowie (Wlkp.)

Kierow. wydawnictwa	—	Redaktor odpowiedzialny	—	Redaktor naczelny
Ożegowski P.		Prof. dr. J. Jachimek		Szymoniak Jan

.....

Zaledwie półtora roku upłynęło od chwili, kiedy wola Marszałka J. Piłsudskiego na stanowisko Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych powołała gen. dyw. Rydza Śmigłego. Wówczas oczy wszystkich zwróciły się ku Temu, na którego barkach spoczęło brzemie wielkiej spuścizny Wodza Narodu... W ciągu tak krótkiego czasu Wódz Naczelny zjednał sobie szczerą i głęboką sympatię całego Narodu, który też z radością przyjął dekret Prezydenta Rzeczypospolitej, stwierdzający, że gen. Rydz-Śmigły ma być uważany za drugą po Prezydencie w państwie osobę.

Z większą jeszcze radością powitano dzień, w którym Prezydent Rzeczypospolitej wręczył Naczelnemu Wodzowi buławę marszałkowską.

Niezliczone manifestacje ku czci nowo-mianowanego Marszałka, pełne szczerego entuzjazmu, są dowodem, że Naród polski kocha swojego Wodza i że w każdej chwili jest gotowy służyć jego rozkazom.

Redaktor Naczelny.

Marszałek Śmigły - Rydz.

Na przekór jakby mniemaniom ludzkim, że wielkości znajdujemy wśród wielkich rzeczy, ludzie sławni pochodzą prawie, że zawsze z małych miasteczek lub nawet wsi. Nikt więc z mieszkańców Brzeżan nie przypuszczał, że urodzony w ich mieście dnia 11 marca 1886 roku dzieciak imieniem Edward Rydz, wyrośnie tak, że dorówna samemu Prezydentowi R. P.

Ba, nawet on sam nie przypuszczał, że miast artystą malującym piękno Polski zostanie jej współbudowniczym. Nie sądzonem mu było ukończyć Akademii Sztuk Pięknych, lecz natomiast oficerską szkołę Związku Walki Czynnej.

Kiedy wybuchła wojna widzimy go komendantem lwowskiego okręgu Zw. Strzeleckiego. Jednakowoż z pierwszymi strzałami wojennymi, wyrusza na pierwsze boje, które zrywają mu już liście do wieńca sławy, jaki wieńczy dziś jego skroń.

Chrzest żołnierski to Anielin 1914 roku. A po tym w ciągłych walkach osiąga stopień podpułkownika, by z dniem 3 czerwca 1915 objąć dowództwo nad pułkiem.

Lecz szybki awans nie odurza go, bo kieruje nim stłowa wola, ta sama, która nie pozwala mu upaść nawet po 36 godzinnej ulewie kul z pod Kostiuchówki. A trzeba było teraz wielkiej siły, bo nań spadł obowiązek kierowania P. O. W., kiedy Komendanta zamknięto w Magdeburgu.

Gdziekolwiek jednak Śmigły jest, tam pracuje. Nie tracił nigdy czasu, dlatego mógł wystawić taką armię, która potrafiła przetrwać boje aż do 1919 roku, by potem ruszyć zwycięskim krokiem na Wilno.

A wojsko jego piękne: Bose, z workami miast tornistrów, obdarte, z miskami w miejsce menażek. A droga jeszcze piękniejsza: błoto, że wozy trzeba rozbierać i przenosić częściami.

Lecz nie o to chodzi. My podziwiamy wodza, który potrafił zachęcić, który potrafił wlać ufność w żołnierza, by ten zdobył po ciężkiej walce Wilno i potrafił w 6000 piechurów i tysiąc konnicy utrzymać napór 11 przeszło tysięcy wroga.

Ala i tu nie ustaje, a tylko prowadzi wojsko na pomoc innym ludom. Polska, która co dopiero sama zerwała kajdany, kroczy rozkuwać je Łotwie. I poszli żołnierze napoleońskim szlakiem.

Lecz szli, nie jak Napoleon po klęskę, lecz po zwy-

cięstwo. Zagrzewał ich do tego wódz — Śmigły. Doszli do Dynaburga. Poszli jeszcze dalej wyznaczać granice dla obcych narodów. Nie zważała ta armia na mróz 30°. Trudy im były lekkie, bo w sercu mieli męstwo, a w oczach ukochanego wodza: Śmigłego.

Dla tych, co kochają ojczyznę nie ma spoczynku. Za ledwie minęła straszna zima 1919/20 roku, już Śmigły odkomenderowany zostaje na dowódcę 3 armii, która we wspaniałych zwycięstwach dociera do Kijowa. Choć po tym wracać trzeba było, choć trudy się piętrzyły, to jednak znów żelazna wola, opanowanie i uśmiech Śmigłego działał to, że jego 3 armia ocalała, przebiwszy żelazny pierścień pod Zdwizem. Męstwo żołnierza i jego hart ocaliły, mimo olbrzymiego popłochu, nie tylko artylerię ale i wszystkie tabory. Znów więc nie liść, ale cała gałąź przybyła wieńcowi sławy Śmigłego.

Watachy moskiewskie docierały do serca Polski. Ratunku trzeba było na gwałt. Wódz naczelny opracował plan. Potrzeba jeszcze wykonawców. Jednym z głównych staje się Śmigły jako dowódca grupy uderzeniowej.

Znamy te boje, gdzie żołnierz nasz bez wytchnienia parł ciągle naprzód, by oskrzydlić wroga. Wiemy, ile zaparcia było potrzeba, by śpiąc po 3 lub 5 godzin na dobę, przebywać po 50 lub 70, a nawet do 80 km dziennie.

Nie na tym koniec. Śmigły po licznych zwycięstwach, ująwszy tysiące jeńców, maszeruje za Niemen. Trzeba jeszcze zdusić do reszty armię sowiecką, która zaczynała podnosić łeb. I tu spotykamy się z jeszcze jedną cechą Śmigłego: jego przebiegłością. Rozpuszcza bowiem wieść jakoby kroczył na Litwę. Moskale wierząc temu, nie spodziali się, jak Śmigły zjawił się im nagle od wschodu, na tyłach.

Mamy więc znów wspaniały bój pod Lebiada, gdzie dwa pułki Polaków rozbiły 10 tysięczną armię bolszewicką. Bo przez zwycięstwo pod Lida, prowadzi Śmigły swych junaków do Mińska, który zostaje zdobyty wspólnymi siłami wszystkich wojsk polskich.

Teraz dopiero skończyła się wojna. Śmigły okryty sławą, mógł być dumny ze siebie. Tyle przecież zdziałał. Stał jednakowoż w cieniu. Dopiero śmierć Wodza powołała go na opuszczony posterunek.

Oto żywot tego człowieka prostego, jak każdy szczerzy żołnierz, a wielkiego jak miłość Ojczyzny.

P. Oż.

Polska — to wielka rzecz!!

(Referat wygłoszony na akademii 11 XI 36)

Zmroków prahistorii wychyla się tajemnicza i wielka państwo już zorganizowane — by pewną stopą stanąć nad Wisłą i Bałtykiem —

Poszum jodłowych puszc i skrzydeł orlich chwianie, osnuwa jej kolebkę mroczną — a z niej wyrывa się duch jej — przestrzeni i wolności umiłowany syn — na morza seledynową wieczność, na żyzne i, jak niebo zimowe przestrzenne, południowe wyżyny.

Nad modrą rzek wstęga. — po puszc odwiecznych ostępach, — po pagórkach bezleśnych, dziką stopą wichrów dotychczas deptanych, — gród potężny w niebo urasta, — ludne miasta gościnne otwierają bramy i osiedla wieśniacze skrzętną zakwitają pracą.

— — — — —

Dziś jeszcze tułają się gdzieś echa słupów wbijanych mocarną pięścią Bolesława w piasków odrzańskich złoto, — dziś jeszcze pobrzmiwają ostatnie tony fanfar — na żubrowych grane rogach — wieszczące zwycięstwo nam — a klęskę Niemcom i śmierć...

— — — Takie to wielkie a dawne — — —

Czy pamiętacie? — Zdumione a głodne oczy Niemca chłona polskiej ziemiocy bogactwa i zamku królewskiego przepych — ciężki złota blask — cesarska korona — dumne okala skronie Chrobręgo....

Pamiętacie? — Umilkły ostatnie mieczów pojęki — krwią polskich królewiat pomorska skropiona dziedzina — znużon Krzywousty pogiętą składa zbroicę, — morzem płomieni płonie gontyna Światowida, — na świętej Rugii Chrystusów polyska krzyż...

A obok szumi morze, — triumfem i chwałą się pieni — a w dali kona słońca przeogromne koło — przyszłość Polski na rozedrgany złoto-purpurowy wzywa szlak...

W bezruchu zastygły marsowe twarze, — serca się ścielą morzu i słońcu ofiarą, — błyskawicą lśnią miecze, z piersi się rwie krzyk, jak wichur, jak burza, — jak grom morze!! —

taki był polskiego morza dzień pierwszy!

Polska — to wielka rzecz! —

Wieki całe — pokoleń dziesiątki, krwią, trudem mocarnym i znojem lepiły jej wielki i potężny gmach! —

Jak wyciosane granitu złomy, błyszczą beznadziejne
zda się Łokietka scalenieowe boje, — Kazimierza o mуро-
wanej Polsce przeolbrzymie zwidy; Jagiełłów od morza do
morza przestrzenne szlaki; — Batorvch i Sobieskich sztandarami rozchwiane zwycięstwa: — Władysławów o polskim
morzu i polskiej armadzie nieziszczone sny...

Ku białym, rozległym krainom Wschodu polska kierowała się twarz — i myśl — i miecz — a na Zachodzie wydzierał słowiańską ziemię nam bezsyty teutońsko - krzyżacki zaborca. I w tem tkwi wieków błąd i losów przekleństwo; u szyi naszej kleszczami się przypiał zachłanny sąsiad.

Przeszłość! szumna i dumna przeszłości nasza, zbrojna w stal — rycerskimi powiewa pióry; — szczęk Grunwaldu i ginącego Zakonu jęki jako echo dawno słyszanych pieśni wskrzeszę w uszach waszych: — Rzucę pod nogi wam carskiej i węgierskiej i czeskiej korony krwawe złoto; owiędusze wasze Chocimia i Wiednia chwałą; — gotyckie wieże wywołam przed oczy wasze; — cień katedr świętych rzucę na głów wasze. —

Ale! o nie! — tego już nigdy nie będzie; tragicznie jak Grecja bezładna, powoli jak Roma zgrzybiała zesłaś do grobu świetna przeszłości nasza; — i trzeba było łez i bólu, purpury krwi i krzyża męczeńskiego ofiary, by Cię — Polsko — oczyścić z ojców winy — —

— POLSKO! — ginęły dla Ciebie tysiące! — Każda piędziesiątka Twojej przesiąkła krwią naszą; — po wszystkich szlakach Europy i świata rzucaliśmy naszych umiłowań krwawy siew; — dumne piramidy oglądały dawnych bogów męstwo; — sfinks na chwilę zgasił drwiący półuśmiech i wyrzekł — Szaleńcy! Trupy ojców naszych do snu kołysały gniewne oceanu fale; — śmiercią ich zakwitł czarny San Dominga ląd; — mogiłami naszymi zasłano rozległe jak ciemność, ponure, jak trumny wnętrze — tajemnicze jak przyszłość — groźne i mroźne Sybiru równiny.

Któryż z narodów nie słyszał polskiej o sprawiedliwość modlitwy? któreż niebo, albo gwiazdy jakie nie oglądały wyciągniętych prośbą niemą i błaganiem ku Bogu polskich rąk?

Cześć bohaterom Saragossy i Samosiery; — cześć nieśmiertelnym listopada i stycznia; — cześć męczennikom Sybiru, katorg, cytadel i więzień; cześć orłom Lwowa i cudu Wisły!!

— CZEŚĆ I NIEŚMIERTELNOŚĆ!! —

POLSKO! — marły dla ciebie tysiące, po wszystkich polach świata, gasły dla ciebie medale życia najlepszych synów

twoich — ochotnie — bo mieli wizję zmartwychwstania
w ostatniej zgonu chwili — —

POLSKO! — z krwi ich powstałaś wolna; — z krwi ich
wzrosłaś w potęgę; — krwią ich nową rozbłysłaś chwałą..

Ich trud, tęsknota, ból, krew i męka fundamentem
przyszłości Twojej — a nam miarą i wzorem poświęcenia się
i ukochania Ciebie — POLSKO — odpowiedzieć musisz ich
snom — i niech się spełnią za dni naszych najświętsze ich
życia ideały; — niech jasną się stanie, o czym dziadowie
nasi marzyli w snach. —

— „W szczęściu zakwitnie krwią wieków żyzny łan
naszej wolnej ojczyzny”.

Hądzel Franciszek

Listopadowa rocznica.

Na szarugi pełne dni, oraz długie jesienne wieczory,
pełne łkań wichru, przypada rocznica wielka, świadcząca
o sile ducha jej uczestników.

Powstanie....

W czas beznadziejny, bez broni, bez wodzów, porwali
się Polacy do walki z ciemieźcą.

Ruszyli z determinacją na regularne szeregi zahorczych
wojsk, czekając cudu..

Żar ukochania Ojczyzny, buchający we wszystkich ser-
cach, przysłonił swym płomieniem wszelkie inne sprawy,
a podkreślał tylko jedno: ! Wolną Polskę.

O tę Polskę modliły się pokolenia, za tę Polskę kładli
życie bohaterowie listopadowego powstania.

Krwia i sława pisane kartki listopadowego czynu roz-
poczyna zdobycie Belwederu przez podchorążych, kierow-
nych przez dzielnego Wysockiego.

W tę noc listopadową uderzył naród za pośrednictwem
swej młodzieży w gong czynu, a rozgłos jego porwał wszy-
stkich do powstańczych szeregów. Jutrzenka nadziei jaśniała
wszystkimi barwami i kusila oczy Polaków.

Rozpoczęły się krwawe zmagania... Olszynka Gro-
chowska!... Nieśmiertelną chwałą okryły się w tej sławnej
bitwie powstańcze szeregi. Z nienotowaną w historii pogar-
dą śmierci ruszały na armatnie paszcze i lśniące bagnety.
Sławni „czwartacy”, co walczyli bagnetem tylko, żyją do
dziś w pieśniach u Polaków i u obcych.

Lecz jednocześnie sławna ta w dziejach zaborów bitwa pozbawiła Polaków wodza, Chłopiński bowiem ciężko ranny musiał się wycofać z dalszych operacji wojennych.

Od tej chwili jutrzeńka nadziei zaczęła przygasać, a za nią wylaniać się poczęła gradowa, czarna chmura zwątpienia i dalszej niewoli,

Pomimo bohaterstwa Emilii Plater, gen. Sowńskiego i setek bezimiennych bohaterów, których ciała legły w ziemi za świętą sprawę, powstanie zdławiono.

Prześladowaniami okropnymi starano się zatrzeć w sercach ostatnie piętną polskości. Krwią chciano zalać ogień tęsknoty za Wolnością.

Powstanie nie powiodło się.....

Lecz pozostała po nim w piersi Polaków granitowa nadzieja, że może w przyszłości się uda. W sercach chowano z pieczołowitością ogień umiłowania Polski i przekazywano go pokoleniom, podsycając go opowieściami o męstwie listopadowych bohaterów.

I kto wie, czy z tych właśnie opowiadań, snutych wieczorami, przy blasku kominka, nie powstał bohaterowie powstania styczniowego, nie powstał mocarz, co znacznie później rozerwali pęta Matki - Ojczyzny?!

Szabowski Henryk kl. I c.

Henryk Sienkiewicz

W 20-tą rocznicę śmierci wielkiego a zarazem genialnego artysty, należy coś wspomnieć o jego życiu, dziełach, pracy położonej dla dobra ludzkości.

Henryk Sienkiewicz urodził się 5-go maja 1846 roku, w małej, cichej wiosce Woli Okrzejskiej na Podlasiu. Nauki pobierał w warszawskiej Szkole Głównej.

Już w 19-tym roku życia wytknął sobie program, według którego kierował się w swej ogromnej działalności. Dążył od początku do tego, żeby przedstawić prawdę i piękno. Do życia rzeczywistego — realnego dodaje idealny pierwiastek piękna. Henryk Sienkiewicz zaczął od noweli i felietonów. W „Humoreskach z teki Worszylly” poruszył zagadnienie wsi polskiej, zagrożonej opanowaniem przez obcy załew, który powoli ale stale dążył naprzód i opanowywał wskutek niedostatku sfer ziemiańskich, większe majątki i przedsiębiorstwa.

Tak w noweli „Dwie drogi” przedstawił dwóch ludzi stojących na przeciwnych biegunach, po jednej stronie inżynier Iwaszkiewicz — dyrektor fabryki, który chociaż ponosi straty, to jednak zwalnia z pracy Niemców, by dać zatrudnienie Polakom. Po drugiej Złotopolski — podupadły ziemianin sprzedaje majątek Niemcom, mając na celu nie dobro ogółu, ale dobro swoje.

Pierwsza większa powieść „Na matne” (w r. 1872) była podobną do

„Lalki.” Szwarz bohater powieści „Na marne.” dąży pełen zapалу naprzód, lecz wkońcu ulega kobiecie. „Nadto, nadto sił kładziemy w gonitwie za miłością kobiety” czytamy — „potem miłość gdzieś jak ptak odleci, a siły idą na marne.” Sienkiewicz wyjeżdża zagranicę, zwiedza Amerykę, Afrykę, Anglię, Francję, Grecję, Hiszpanię. Podróże te dodatnio wpływają na autora a wynikiem tego są „Listy z podróży.” Prócz tego pisze coraz więcej artystycznych nowel, a to „Stary sługa,” „Hania,” „Selim Mirza,” „Janko muzykant,” to przepiękna nowela, przedstawiająca małego artystę wiejskiego, przepojonego miłością sztuki. W noweli „Za chlebem” odmalował zgubne skutki emigracji polskiej.

Bezmiar tęsknoty za ojczyzną, która przenika duszę wygnańców, wypowiedział się najsilniej w „Latarniku.” Prócz tego tworzy „Pamiętnik poznańskiego nauczyciela” i „Bartka zwycięzcę.”

Niezadowolony z samych nowel, wkracza na pole romansu historycznego. Pociąga go wiek XVII, gdy „ogień i miecz” przeorał Polskę, gdy zalał jej „potop” najeźdźców. Pisze arcydzieło „Trylogię.”

Tworzy „Ogniem i mieczem,” „Potop,” „Pana Wołodyjowskiego. Najślabszą z tych powieści to „Potop.” Powieść „Ogniem i mieczem” pojawiła się w „Warszawskim Słowie.” Powieść ta porwała dusze polskie zgęźbione niewolą złamane niepowodzeniem roku 1863, do walki o cechowności ojczyzny. W „Ogniem i mieczem” ukazał nam Sienkiewicz dawną Polskę, w nowej rycerskiej pełnej mocy chwale. Pokazał nam rycerzy takich jak Skrzetuski, Podhipięta, Wołodyjowski, Jeremi Wiśniowiecki. W naszej pamięci będzie zawsze bohaterska obrona Zbaraża, Częstochowy, czynny rycerz i t. p.

Po „Trylogii” Sienkiewicz zwrócił się w dziedzinę współczesnej powieści i ogłosił dwa dzieła „Bez dogmatu” i „Rodzinę Połanieckich.”

W roku 1896 wychodzi powieść w trzech tomach p. t. „Quo vadis.” Przed napisaniem jednak tej powieści Sienkiewicz dokładnie przestudiował pisarzy starożytnych i nowoczesnych. Rezultatem zaś tych studiów było znakomite opracowanie materiału. Dowodem zaś, jak potężnym arcydziełem jest „Quo vadis,” jest to, że powieść tę tłumaczono na wszystkie nieomal języki świata. Dzięki głównie „Quo vadis” stał się Sienkiewicz powszechnie uznanym przedstawicielem i orędownikiem narodu polskiego.

W „Krzyżakach” wydanych w r. 1900 w 4 tomach, powrócił autor na pole polskiej powieści historycznej. Doskonale odmalował życie Krzyżaków, walki Polaków, i miłość Zbyszka z Bogdańca. Cudnie przedstawił śmierć Juranda, Zygryda i Danusi, pojedynek Zbyszka z Rottgerem i wreszcie straszną walka dwóch potęg. „Krzyżacy” zamykają okres rozwoju Sienkiewicza, Pisał jeszcze inne powieści jak „Na polu chwały,” „Wiry,” „Legiony” (nieskończone,) ale te nie mogą się dorównać poprzednim dziełom. Dla młodzieży napisał cudny dar p. t. „W pustyni i puszcy.”

W czasie wojny światowej wytrwał „na posterunku” do końca. Bronił jak tylko umiał naród, czego dowodem są: „List otwarty Polaka do ministra rosyjskiego” i „Ankieta o wywłaszczeniu.” Kiedy zaś przy tej pracy zastała go śmierć (w Szwajcarii 15 listopada 1916 r.) to na cały świat padł wielki smutek.

Pochyliły się wszystkie sztandary u trumny wielkiego artysty i dobrego Polaka, który szedł „przez ojczyznę do ludzkości, nie zaś: dla ojczyzny przeciw ludzkości.” Sam Ojciec święty, na wieść o śmierci genialnego pisarza przesłał ma ręką Komitetu Sienkiewiczowskiego, wyrazy serdecznego współczucia.

Pogrzeb odbył się 22 listopada. Zwłoki złożono w podziemiach kościoła w Verey, po czym zostały przewiezione do Polski — do Warszawy.

Plakał kraj cały od niebosiężnych tatrzańskich turni, poprzez zapadłe puszcze polskie i litewskie, aż po szerokie równiny nadwartańskie.

„Cała Polska płakała, bo ją całą opisywał.

F. P.

Moja tęsknota.

*Ma tęsknota szarooka
Smętnostrunna jest — szeroka
I jak dusza niepochwytna.
Moja tęsknota skrzydlata
O pędzie marząca, - ptakach... ..
Moja nie zgasła tęsknota
Wichrem mą duszę nagina
I w chwilach ciszy szalonej
Myśl zasuwa pajęczyną — —
Moja kamienna tęsknota
Hen — w gwiazd zbląkała się przestrzeń...
W szale planet zadumana,
Wyskrzydłona w marzeń wietrze.....
W czarnobrowną, księżycową
Noc nade mną się schyla,
Na piersi miękko zacięży,
Słodkie w usta szepnie słowo
I zbudzi: — — —
W lekcję na ławce wykwitnie,
Oczy melodią przesłoni...
I zgubią się w logarytmie
Przedziwną rojąc symfonię.....
Szaleń wychuchnie namiętym
W łeb zadumą pięścią praśnie,
Lazur nieba podrze w strzępy,
Zachłyśnie się — i przygaśnie.
Moja niezgasła tęsknota
Wichrem mą duszę nagina,
Lecz w chwilach gwaru i tłumu
Cisza to moja jedyna.
Spotykam ją u mnie w głębi
I, aż hen w nadgwiezdnych krążgankach...
Moja kochana tęsknota,
Serca prawdziwa wybranka.*

Józef Szczublewski

Koledzy Zanolwcy!

Corocznym zwyczajem odbył się w czasie wakacyj kurs Te-Te-Ze-tu w Kościerzynie, na Pomorzu. Mało jednak kolegów się nim zainteresowało i dlatego chciałbym pokrótce go omówić.

Wiemy dobrze, że cel kursu nie kończy się na wyrobieniu organizacyjnym uczestników. Kurs jedynie wtedy spełni swe zadanie, jeżeli rzeczy na nim usłyszane i prze-myślane będziemy głosić i realizować w życiu. Mało znaczy być Zanolwcem, człowiekiem kulturalnym — trzeba być człowiekiem czynu. Potrzeba zaś czynu jest wynikiem chwili, jest wynikiem obecnej sytuacji w Polsce.

Starsze pokolenie już się przeżyło i nie rozumie ani terażniejszości, ani nas młodych. Pamiętajmy jednak, że pokolenie to liczyć się z nami musi, gdyż w naszych czynach będzie leżeć przyszłość Polski. Dzisiaj na każdym froncie młodzież daje się odczuć, daje się odczuć jej ręka, jej chęć przetworzenia współczesnej rzeczywistości na lepsze. Nie przestraszajmy się tym, że mało jest dzisiaj młodzieży takiej, na której sercu leżałoby dobro społeczeństwa i Państwa. Dzisiaj Polsce potrzeba kilka setek ludzi o wyrobionych charakterach i żelaznej woli, ludzi wiernych ideałom i pełnych entuzjazmu, a także bezinteresownych. Dlatego też w streszczeniu powtórzę to, cośmy w pracy nad sobą prze-myśleli i przedyskutowali.

Za jedyny miernik wartości człowieka uznajemy pracę, szczególnie pracę twórczą. Ona decyduje o stopniu jego udziału w życiu społecznym. Ponieważ podmiotem wszelkich przemian społecznych są jednostki, stąd na każdym człowieku ciąży obowiązek pracy kulturalnej. Tylko przez tę pracę człowiek zdobywa sobie osobiście i swej grupie prawo do korzystania z wyników pracy innych grup i jednostek. Prawa zdobyte przez pracę człowieka muszą być proporcjonalne do wartości wniesionych. Ten punkt uważać należy za właściwe zrozumienie zasady demokracji. Wspomniawszy o pracy kulturalnej dodam jeszcze, że kultura i cywilizacja, pojęte w najszerszym znaczeniu, są zbiorem tych wszystkich wartości, które mają na celu ułatwienie ludziom życia tak społecznego jak i jednostkowego. Elementy zaś kulturalne zyskują tylko na wartości w życiu społecznym.

Mówiliśmy także o narodzie, państwie i religii, pacyfizmie i klasach.

Uznaliśmy, że narody są grupami zróżnicowanymi kulturalnie, na skutek niezależności swego rozwoju. Wsku-

tek tego naród jest grupą społeczno-kulturalną, która się wypowiada za pośrednictwem państwa, które posiada lub do którego dąży. Wszystkim narodom przyznajemy równe prawo do organizowania się w formach państwowych. Państwo i naród są czynnikami równorzędnymi: pierwsze pod względem organizacyjnym, drugie pod względem kulturalnym. Państwo, działając zasadniczo tylko na terenie gospodarczym, organizacyjnym i między państwowym winno tak wpływać na grupy kulturalne, żeby rozwój ich umożliwiał realizowanie interesów państwowych a z drugiej strony winno sprzyjać wymianie wartości kulturalnych między narodami i w ten sposób przyczyniać się do wzbogacenia dorobku ogólnoludzkiego.

W stosunku do innych państw trzeba kierować się zasadami współpracy tak kulturalnej, jak i gospodarczej. Sprzecznosci interesów nie należy regulować drogą zbrojną. Dlatego też stoję na stanowisku popierania realnej akcji pacyfistycznej. Wierzę, że zmiana psychicznego nastawienia wobec zagadnień walki o byt zmieni dzisiejsze sposoby regulowania stosunków międzynarodowych, wierzę, że wojna będzie należeć wtedy do przeszłości. Jeśli chodzi o organizacje o charakterze religijnym, to powinny się one zajmować jedynie zagadnieniem stosunku jednostki do świata nadprzyrodzonego. Jednostka ma prawo do swobodnego wyznawania swoich przekonań religijnych.

Mając tak sprecyzowany światopogląd możemy być pewni, że praca nasza zmieni dzisiejszą rzeczywistość o tyle, że na miejsce tylokrotnej krzywdy społecznej wejdzie szczęście.

Krystek Fr.

Na posterunku.

(Z opowiadania legionisty z Marocca Francuskiego.)

Udało się nam uzyskać niezwykle ciekawe opowiadanie przeżyć pewnego legionisty z Legii Cudzoziemskiej. Nie jest to jednak jego własnoręczny opis tylko ustne opowiadanie, które ubrał we formę literacką jeden z naszych kolegów z kl. I. znający się osobście z owym żołnierzem, pochodzącym N. B. z okolic Ostrowa (Przyp Red)

Kiedy to u nas panuje mróz a śnieg hula po polach, tam w Afryce, przed skwarem słonecznym chowają się ludzie pod cienie palm. Czekają aż nadejdzie chłodny wieczór, z którym powraca orzeźwiający wiatr.

Życie w poście¹⁾ płynie dość szybko, przynosząc co dzień moc niespodzianek. Zdarzało się, że chcąc pisać list do domu trzeba się było kilka godzin dopytywać o datę. Niedzieli i świąt nie znaliśmy. Codziennie musieliśmy pracować z kilofem w rękę i w pocie czoła, a tymczasem w Ojczyźnie mej ludzie spieszyli do kościoła, prosić Boga o nowe łaski.

Po zrobieniu sobie kalendarzyka dowiedziałem się, iż na tym przeklętym poście jestem już 8 tygodni. Kiedy minęło jeszcze 4 dni, znalazłem się w aucie ciężarowym, jako strażnik czterech arabskich jeńców, których chwycono, kiedy z bronią w rękę zamierzali zabić w pobliżu kolonii osłabionego legionistę. Szczęśliwie przywieźliśmy ich do nowo budującego się miasta Miteld. Wielka ilość Arabów, zakutych w kajdany, pracuje w znoju, a miasteczko szybko rośnie na skalistym gruncie.



Ciepło, tylko... 45 °C pow. zera. — Pluton autora prezentuje broń.

Z tamtąd zostałem wysłany na obserwacyjny post „Taza”. Forteca ta ze załogą w sile osiemnastu ludzi znajdowała się na wysokiej górze. Zadaniem naszym było strzeżenie czterech innych postów, które znajdowały się w promieniu 4-10 km. Forteca nasza posiadała stację nadawczo-odbiorczą. W razie zagrożenia któregoś z podlegających nam postów wzywano pomocy z postu głównego

1) Post — posterunek tutaj, fort (z franc.)

Życie w tym podniebnym poście „Taza” upływało spokojnie. Nie obawiano się napadu. Czyż bowiem było łatwo zaatakować nas siedzących w górach?

Wychodziliśmy poza mury fortu do kantyny, która znajdowała się na grzbietach osłów, z którymi wspinał się dwa razy w tygodniu nasz przyjaciel Arnet, przywożąc towar i pocztę. Był to Arab na usługach rządu francuskiego, za pewną opłatą spełniający sumiennie swe polecenia i obowiązki, i utrzymujący stałą komunikację między pięcioma postami.

Oprócz Arneta, codziennie przychodził jeszcze jeden Arab. Tego to wpuszczano na dziedziniec. Wchodził nawet do naszych kwater, przynosząc zawsze świeże pomarańcza, figi i daktyle. Nie dziwiono się wcale jego codziennej wędrówce, choć na ogół wyglądał bardzo podejrzanie.

Włosy miał ostrzyżone, tylko na czubku głowy pozostawała mała kępka spleciona we warkocz, brodę starannie golił, a oczy posiadał małe, zda się, że pragnące wszystko przejrzeć.

Pomimo, że byłem wielkim smakoszem pomarańczy i daktyli, nie kupowałem ich od niego. Wolałem podobnie jak dowódca postu — sierżant i część kolegów, czekać, aż pod mury twierdzy przyjedzie nasz przyjaciel Arnet Nienawidziliśmy bowiem tego drugiego Araba, który natrętnie, co dzień do nas przychodził. Zdarzało się, że kilka dni z rzędu nie zarobił u nas ani jednego sou¹⁾, mimo to piał się niezmordowanie dzień w dzień do fortecy. Najczęściej gawędził z kapralem nieznanego pochodzenia. Siadywali sobie wtedy na głazie, rozmawiając szeptem.

Z początku nikt na to nie zwracał uwagi, lecz mnie ta znajomość zaciekała. Pewnego wieczoru wracałem z moim przyjacielem Stachem do fortecy. Cieszyliśmy się, że po tak skwarным dniu nastanie noc, która orzeźwi człowieka. Wróciliśmy przez małą oazę i półgłosem rozmawialiśmy o Ojczyźnie. Wtem przed nami zauważyliśmy naszego kaprała z Arabem. Stach skrył się za drzewo nakazując mi to samo uczynić. Porozumiewaliśmy się wzrokiem i pilnie śledziliśmy rozmawiających. Widzieliśmy jak kaprał kładł Arabowi coś do koszyka.

Nagle głos trąbki zmusił nas do szybkiego powrotu. Obiegnęliśmy górę, aby nie wrócić z jednej strony razem z kapralem.

1) Sou — 5 centimow, shoneta fran. — 2 gr.

Kiedyśmy przyszli na dziedziniec, bramę zaraz zamknięto. Kaprał już był na dziedzińcu. Widzieliśmy go jak chodził koło magazynu broni, którego był magazynierem.

Po niedługim czasie ułożyliśmy się do snu. Zaprosiłem Stacha na moje łóżko i chciałem z nim nawiązać jakąkolwiek pogawędkę. Stach jednak nie był ten sam co przedtem: Zamyślony i blady.

Nagle odezwał się:

— Jestem już piąty miesiąc w tym poście. Znam wszystkich. Kaprał wpadł mi szczególnie do głowy. Nie lubi naszego koleżeństwa a z Arabem zawarł takie przy mierze. Ma także dużo pieniędzy.

Z tych słów zacząłem się trochę domyślać. W końcu umówiliśmy się, że przy łada sposobności zbadamy te tajne konszachty.

Arab nadal przychodził co dzień, kiedy niespodziewanie kaprał zachorował i starał się, by go odwieziono do garnizonu. Papiery były już gotowe i czekano tylko na zastępcę i parę mulów do transportu.

Dwa dni przed wyjazdem chorego, Stachu miał wartę. Poszedłem do niego porozmawiać, by mu się nie nudziło. Wczasy rozmowy Stach zwierzył mi się ze swego niepokoju, jakim go napelniają tajemne rozmowy kaprała z Arabem. Postanowił ich zdemaskować. Powiada:

— Dziś albo nigdy! Przypatrzyłem się Arabowi, że on nigdy nie pozwoli sobie wybierać z kosza pomarańczy, tylko zawsze sam daje. Więc ja postaram się z nim pogawędzić, a ty, gdy będzie sięgał do kosza, skoczysz i wytrącisz mu koszyk.

Podaliśmy sobie ręce na znak zgody. Odszedłem w stronę magazynu i zauważyłem, że wewnątrz siedział kaprał z Arabem. Obszedłem wokół fort, patrząc co robią towarzysze. Znalazłem ich bawiących się koło stajni. Jeden z kolegów bawił ich, udając zaklinacza węzów, lub naśladowując fatimę tańczącą na placach publicznych.

Wróciłem koło bramy i udając śpiącego oczekiwałem na znak Stacha. Byłem okropnie podniecony. Próżno rozmyślaniami o domu i Ojczyźnie pragnąłem uspokoić swe nerwy.

Wreszcie, po jakiejś pół godzinie, Arab wyszedł z magazynu, niosąc jak zwykle kosz. Tuż przy bramie Stach go zatrzymał. Widziałem, jak podniecony Stachu jąkał się. Arab chciał odejść, lecz Stach nalegał, by mu sprzedał pięć pomarańczy. Tymczasem pomimo, że nogi odmawiały mi posłuszeństwa, podniosłem się jednak i z wysiłkiem podeszedłem do rozmawiających.

W chwili gdy Stach sięgał do kosza, usłyszałem jak sierżant wołał mnie do siebie. Zawahałem się chwilę: co robić? Tak byłem jednakowoż rozdrażniony i rozstrojony, że automatycznie dopadłem Araba i całym ciężarem ciała powaliłem go na ziemię, wytrącając mu równocześnie kosz. Powiodło się!

O dziwo! z kosza razem z owocami wysypały się naboje i kilka ręcznych granatów. Zachwyceni zdobyczą nie zauważyliśmy jak Arab wyjął rewolwer.

(Dokończenie nastąpi)

M. B. kl. I b.

Matka.

(Wyątek z powieści p. t. „Gimnazjalna granda”)

... **Z**bigniew wyciągnął z szafy gruby skoroszyt pełen kartek: jego płodów dzieciństwa. Złożył to wszystko na papierze okna swej stancji w miednicy od mycia i zapalił...

Ogarnął go wyborowy humor.

— Dziecinne płody, mania bazgrania płonie. ha, he, he!

Capnął skrzypce i grać zaczął dziko, wesoło najszybsze, niesłychane jeszcze mazury, obertasy, marsze tryumfalne, foxtroty...

Polaczykiewicz, jego kolega, stał przerażony w oknie swej stancji naprzeciw i słuchał z szeroko otwartą gębą...

— Zwariował, czy się wściekł, czy pierwszy...

raz pocałował kogoś?

Zbigniew! — Wrzasnął.

— Czego ryczysz?

— „Budę” spalisz!

— Leć po straż pożarną!

— Grekę spalisz?

— Nie, dzieciństwo!

Grał dalej — wiersze się dopalały.

Ktoś zapukał.

Listonosz.

Telegram... żalobny...

— „Matka umarła. Przyjeżdżaj”

Gluchy cios pięści prasnął go w skroń!

Pokój zawirował...

— Matka umarła., — szepnął bezbarwnie.

Skrzypce wysunęły mu się z ręki i twardym jękiem gruchnęły o podłogę..

Pękły...

Gdy dotknął strun, dobiegł go głos chrapliwy, jęk z rozbitej beczki. Całą siłą woli trzymał sprężone sznury nerwów, aby nie wybuchnąć i... ach!

Pojechał na wieś.

Leżała w czerń przybrana, sztywna na białym łożu. Syn stanął przy niej nieruchomy. Zachodziło krwawe słońce... Łuna blasku padała przez szyby okienne na jej głowę, na jej rysy...

Osunął się na kolana, palcami uściśnął jej zimną, lodowatą dłoń...

Krwawy blask hawił jej piękne czoło, nad wyraz regularne rysy skamieniałe pod technieniem śmierci. Tak niezmiernie spokojna była, taka piękna śmiercią...

Na znieczulonych, tylekroć go całujących ustach, złożył ostatnie synowskie pocałowanie na wieczność — i wyszedł z domu...

Szedł polną drogą ku lasom ciemniejącym coraz więcej w szarzyźnie nadchodzącego wieczoru. Chyliły się nad nim w wieczornym smętne białe brzozy, budzące się do życia... Natura odradzała się — kwiecień był już w pełni — a w nim, zrównoważonym i beztroskim zamarło nagle wszystko, złowieszczy zwiastun śmierci zamroził fantazję, uczucie stało się deską trumny... Uporczywie wpatrzony w ziemię, kroczył, kroczył nie widząc dotąd, jak automat złożony tylko z mięśni niosących go mechanicznie naprzód. Aż owionął go młodzieńczy, żywiczny oddech lasu. Wszedł w półmrok i wglębiał się automatycznie, odruchowo mijając drzewa, potykając się o korzenie. Ręce zwisały mu przy ciele, jak obce niepotrzebne części ciała... Tylko głowa ciążyła, tylko w piersi uciskał ten kamień... Cichy był las... W duszy chłopca kołowały z szumem czarnych skrzydeł złowieszcze, grobowe myśli.

Wyszedł nad czarne jezioro.

Usiadł na suchej, prześcielonej podściółką igliwia ziemi, plecami wsparł się o sosnę i zapatrzał się ponuro w jezioro...

W ciszy całej natury jęczał wewnętrzny ból chłopca... Sosny zastygły w bezruchu, konar nie zgrzytnął w górze, tylko czasem cupnęła o podściółkę szyszka spadająca z drzewa, jak zapadająca w głąb duszy wspomnienie, i bezszelesne sypały się sosnowe igielki.

On głowę pochylił, łokcie wsparł na kolanach i zanurzywszy palce w gęstwie włosów rzucił czapkę i trwał tak pośpny:

— Życie! Piękne i dziwne, okrutne... Młodość! Kwiat życia... rzeźbiarka przyszłych lat... Parodia! Wściekły cynizm losu. Wiosna, wesele i grób, radość i ból... Czemu dotychczas życie było dla mnie szczęściem, czemu nie płakałem? Pocóż jestem taki zdolny, silny, odważnie czekający na życie idące! Ha, ha... Czekam na ciebie, życie. Przyjdź! Wołałem wtedy, wtedy a teraz. Pisałem, żartowałem, igrałem. Czemuż moja matka umarła? Tyle milionów matek żyje a moja umarła? Gdy ty umierałaś, ja flirtowałem ha miłość, miłostka. Największe głupstwo życia! Psiakrew!! Ona już nie żyje. Tak nagle. Przecież nie chorowała! Kto winien? — — Kto winien?! — On winien, Ten któremu imię — Bóg!! On zahrał mi matkę! Słyszycie! Bóg dobry, miłosierny, sprawiedliwy!! Boże! bez serca!!!...

Jakaś wewnętrzna wichura szarpnęła nim wściekle, moc olbrzymia cisnęła go o ziemię, aż zarył twarzą w igliwie i zdusił w ustach straszne bluźnierstwa... W szale rozpaczył się wargami i wgryzł zębami w igliwie, by nie jęczeć, by świętokradzkich nie otworzyć ust...

Z głębi jeziora wyłonił się czerwony balon miesiąca, jak złowieszczka przepowiednia i krwawa bladeścią nasycił staw... Chłopiec leżał twarzą do ziemi, przekreślony czarnym refleksem padającego od sosny cienia i lkał boleśnie, drżał na całym ciele z zimna, płaczu i bólu...

I leżał tak długo,

Aż ktoś go szarpnął za ramię.

Ocknął się i onrzymomniął.

— Ojciec tu?

— Wstań i chodź. Idę spuścić wodę na „Wielkim stawie,” bo ogromnie przybiera. Muszę czuwać, nie wolno mi rozpaczać. Roztopy wiosenne.

Szli, szli, aż weszli na grubą groble... Przy blasku niebieskiego (niebo!) lampionu wyrwali kilka desek z zastaw. .

Woda zsunęła się z głuchym hukiem na dyle, śluza zadrżała, spieniony wał plunął na nich bryzgiem piany...

I tak wszystkie zastawy pozniżali, ulżyli napęczniałym stawom, lecz sobie ulżyć nie mogli, nie mogli wyrwać zastaw duszy i wylać nadmiaru gorzkości...

Nazajutrz wrócił wieczorem do miasta.

Zabłądził — i zaszedł do parku... Siadł w cieniu na ławce i bezmyślnie myślał.

Tu zastała go Jadzia — jego sympatia...

Nie mruknął jej ani słowa, lecz w posępnych jego ryśach wyczytała wszystko

Poprowadziła go — aż do ciemnego pokoju... ucisnęła silnie dłoń i posadziła w kącie na fotelu.

Zapaliła świeczkę przy fortepianie i przysiadła doń bez słowa. Chybotliwy płomieniek świeczki rzucił trochę blasku na jej czoło i aksamit włosów... Fortepian w przyjemnym uśmiechu wyszczerzył ku niej długi rząd śnieżno-białych i hebanowych zębów... Zbigniew schylił głowę na swą pierś i czekał, nie wiedząc na co. Dźwięczał biały, aksamitny ton i rozplynał się po pokoju... Jeszcze nie zcichł, a już wytrysły nowe, głębokie, związały się w gładką melodię — rozbiegały się tak smętnie, tak żałośnie, jakoby wiatr zawodził pośród wiklin nadrzecznych... Lecz rychło smutek zetrwał się w pieśń uczucia drżąca, tak wnikliwa, jak szata natchnionego poety, jak śpiew boru, rozkołysanych lekko wierzchołków sosen, jak dźwięk mandoliny arcyministra przy słowiczej perlister pieśni o strunie mlecznej poświęconej księżycowej.

Zbigniew podniósł oczy zasluchany.. W drżącej plamie światła odcinał się delikatny, piękny natchnieniem profil dziewczynki, młodej mistrzyni klawiszy, w której włosach wzburzonych paliły się gasły, złotawe odbłyski...

Słuchał oczarowany.

Grała z duszy, grała tylko dla niego, przelewała w chłodne klawisze całe swe ciepło uczuć, wszystkie wrażenia sunące we wyobraźni, czytała melodię serca swego i wyluskiwała ją na klawiszach z niewinną szczerością, z wrażliwością prawdziwego natchnienia.

Wdychał całą pierśią barwny spokój i upojenie melodii, nasyczał pięknem, równowagą i uczuciem na nowo swą duszę, ścierały się czarne farby a narastały nowe, fantastyczne i barwne jak przedtem, jak przed gromem... Wspólna ich teraz łączyła dola... — i jej matka dawno odumarła — dola, którą chciała zrównoważyć, przesyć siłą młodości, wyrwać z habitu smutku i rozpacz...

Teraz dopiero wyczula, jak głęboko kocha tego chłopca czarnookiego o tak wielkiej duszy... Teraz poznała, że kochać — to zrozumieć, to pragnąć piękna, wzlotów, to cierpieć i być silnym, że miłość sama w sobie, to rzecz taka święta, nieskalana, to uczucie najpiękniejsze, najcieplejsze młodzieńczych wiosen.

I grała mu coraz silniej, coraz namiętniej, zwiększała melodię, wpadała w bas, przyspieszała, wpędziła bez tchu w wiolinie, targnęła kilka ognistych akordów, zbiła je w stos, rozpalila błyskiem, rozdmuchała płomień gorejący iskrzyście... woła ku niemu mocą życia, wlewała wien nowy zapach do pracy do czynu! Wichura włosów trzęsła się jej nad czołem, palce z pewnym rozmachem padały na klawisze, gnioły je z precyzją i mocą, wybijając hymn młodości... Słońce znów zaświeciło w zdołanej duszy i rozlało długie, pieszczotliwe ciepło blasków i promieni... Wstał cicho i niespos-trzeżony przez nią stanął za jej plecami. Czoło miał równe, uduchowione, bez pionowej zmarszczki, oczy gorejące, usta rozchylone...

Zagrzmiał tryumfalny A-dur. Polonez Chopina, napel-nił pokój surmą zwycięską i nagle przetworzył się we wspa-niały, potężny cud fortepianu, grzmiący huraganowym pao-sem Polonez As-dur... Pierś się chłopcu rozorzężyła pod tchnieniem narodowej dumy huczacej w taktach poloneza... Całą mocą huknęła ostatni akord i zerwała się pijana mu-zyką! Białe, migotliwy tuman wrażeń owiał chłopcu twarz, oczy...

Józef Szczublewski

Nokturn zmroku.

Jak tylko okiem rzucić same białe dachy. Śnieg spadł dziś w nocy i pobielil je, zakrył ślicznym białym mchem. Nad dachami wisi szare nieruchome niebo, szare, smutne...

Lymy leniwie się snują.....

Ostatnie ogniki zorzy wieczornej błyszczą w szybach okien.....

Zapada wieczorny zmrok...

..... Mrok wpelznął przez okno do pokoju. Zagląda w kąty, poza szafę, za piec, odbija się o sufit, wiesza się u lampy, ciekawie czyta rozrzucone po stole papiery.....

Kręci się po pokoju niby cichy duszek.....

..... Z kąta wypełznął chudy, długi, blady smutek.....

I rozpoczął grać nokturn na strunach duszy. Marzę..

..... Wiosna. Zielone drzewa, zielona trawka, kwiatki kwitną, pachną, ptaszki śpiewają. Siedzę sobie w parku na ławce, czapka na bakier, i gwiżdżę. Co się martwić? Za miesiąc wakacje.....

..... mrok snuje się po pokoju. Za oknem szaro. I białe kwadraty duchów.....

..... Stary Płonka orze dziś na górce. Trzeba iść zobaczyć jak mu tam robota idzie. Ciepło dzisiaj, gorąco, żar z nieba leci. Biorę moją beżową „hakę,” laskę i idę. Słońce już zachodzi. Na tle złotego nieba wyraźnie odcina się postać oracza i konia.

— Szczęść Boże, Płonka! — wołam.

Stary zatrzymuje się, zdejmując powoli czapkę i skrobiąc się w łysinę odpowiada...

— A... Bóg zapłać! —

— Jak wam ta robota idzie.

— Ano, chwalić Boga, sporo.

Takzem se umyślił, żeby łorać zaroz po dyscu, co zimia jesce miękka. Jużem od tych kartofli zaorał.

— A nie będzie to czasem padać?

— Ano... Moze będzie, moze nie!

..... znika obraz. Niema górki. Niema Płonki, ani konia. Za oknem tylko wiosenny wieczór.

Smutek gra swój nokturn.....

Dźwięczy w nim matowy ton przygnębienia. zwątpienia... ..

Dźwięczy w nim przeciągła nuta żalu i tęsknoty..... ..

..... smutno

e — S

KĄCIK NAJMŁODSZYCH.

Prowadzi Sekcja Dzien. Kółka Polonist.
pod red. R. F i k s i ń s k i e g o kl. III b.

Felieton.

(Kochajmy się)

Ogromnie lubię się śmiać. Raz, ciekawe, śmiałem się ze.. śmierci. Ktoś tam śpiewał:

„Tam pod Lwotwem, gdzie Jasienko padł...”

„To ty ze Lwołwa?” — pytam. „Acha, ze Lwołwa”.

„Nie wierzem” — Usłyszałem świst i uczulem uderzenie.
„Już wierzem” — powiadam.

Ale, ale od „Lwowa” niedaleko do geografii. Właśnie mi się przypomina jakaś zajmująca lekcja tego przedmiotu: w klasie było ciepło, przytulnie, ławka była miękka. — Wytworzyły się prawda, jakieś prądy wstępujące i zstępujące: skądś zaczęły wiać mile monsuny, passaty, cyklony. Gdzieś w głębi pustyni libijskiej ziewał tygrys, tuż koło ucha bzyknęła mi afrykańska mucha tse-tse. Potem jechałem na morzu.

Jakieś prądy równikowe i odwrotne klóciły się, który z nich starszy. Wreszcie jakiś ziewający wulkan: to Etna. Zaspany zaglądam do jego krateru i widzę tam kilku chrapających kolegów. Wtem huk i wstrząs: otworzyłem oczy. Profesor coś mówił w tej chwili, wskazując na Etnę.

I znowu te monsuny, mucha tse-tse.

Ach, wiem dlaczego!

„Dlaczego”. Acha, to słowo miałem już dawno na ustach. Dlaczego tak mnie „zjechało” w „Próbach samokrytyki”?

Myślałem, że mam czterotygodniową pracą nad tą łaciną udelektuję starszych kolegów.

Niestety, nie zrozumieli...

„Zrozumieli, rozumieć” — A, coś nowego. Prawda, pytałem się kiedyś znajomego, co rozumie przez: „zrządzenie”. Długo się namyslał: „Hm, zrządzenie, hm, ach! Głędzenie”.

Lecz dosyć. „Kochajmy się” — rzekł Mickiewicz. Ja też kocham profesorów, kolegów młodszych i starszych, oraz... Ej nie! Bo znów-by mnie „zjechali”.

„Addis-Adela.”

Do „nowego kodeksu.”

Jeżeli będziesz miał kiedyś koleżankę, to musisz naśladować ten przykład:

Ryszard Kajtek-Kaczkowski znał się dobrze z niejaką panną Zosią, uczennicą gimnazjum żeńskiego. Żyli ze sobą zawsze w zgodzie, nawet poufale. Zdarzyło się raz, że Zosia pożyczyła sobie od Ryszarda małą kwotę pieniędzy. Przy oddawaniu stała się rzecz niehywała: Ryszard pienię-

dzy nie odebrał. Zosia poznawszy się na tym, poczęła coraz częściej pożyczać sobie pieniędzy, ufając, że nie potrzebuje oddawać. Aż nadeszły wakacje.

Za otrzymanie dobrych świadectw poszli do kawiarni. Ryszard zamawiał skwapliwie; szła kawa za kawą, ciastka, tort, śmietana — Zosia brała się za głowę; czy on ma za wiele pieniędzy? Zahierali się do wyjścia. Dla formy wyciągnęła żadaną przez kelnera sumę i położyła ją na stole; spodziewała się, że Ryszard ją wyprzedzi.

Lecz on się nie ruszał. Kelner wziął pieniądze i szybko się oddalił.

Już wyszli. Pożegnali się chłodno. Zosia miała kwaśną minę a Ryszard Kajtek - Kaczkowski śmiał się w duchu, że ukarał chciwą.

Od tego czasu nie spotykali się już ani razu.
... i tak można zrobić.

Erte

Ranek w lesie.

Zwolna ustępowała noc. Ostatnie jej cienie snuły się po grubych omszałych pniach leśnych olbrzymów, uciekając przed budzącym się porankiem. Staszek stał cichutko w spodniach tylko i koszuli (bo cichaczem wymknął się z domu) cały zamieniony w słuch i wzrok. Z pod zwierzchołka i lnianej czupryny czarne oczy rzuciły wokół ciekawe i figlarne iskry, lewa ręka w trąbkę złożona pomagała uchu łowić tajemne szelesty. Chłopcu zdawało się, że jest w ogromnym kościele. Niebotyczne filary sosn i buków ginęły hen w górze pod sklepieniem listowia, złociste świece słonecznych promieni paliły się między nimi, przeświecając przez cudnie powikłaną mozaikę gałęzi, strumyk szemrał cicho i melodyjnie, jak najpiękniejsze organy. Wdali rozległy się gwizdy pierwszych ptaków i mignęło między drzewami rude futro wiewiórki. Życie budziło się w lesie. Na skraju polany ukazała się trójkątna mordka lisa. Wciągnął w szpiczasty nos powietrze, prześwidrował polanę czarnymi ślepkami i przebiegł ją lekkim truchcikiem. Coraz więcej słońca przenikało między drzewami. Strumyk perlił się w jego promieniach i ze szmerem ginał między paprociami, tworzącymi gęste kępy. Staszek promieniał radością. Oto spoirzał w oczy przyrodzie, chroniącej tak łakomie swe tajemnice przed ludzkim intruzem. Wtem drgnął i zastygł w zachwycie. Między dwoma pniami brzoźowymi ukazała się głowa jelenia, uwieńczona wspaniałymi rogami. Chwilka

i królewski zwierz cały wyszedł na światło polany. Rogi położył na grzbiecie i stał tak chwilę nieruchomy, jak olbrzymi posąg ze spiżu. Potym wolnym, majestatycznym krokiem zbliżył się do strumyka, pochylił leb i zaczął pić.

Serce Staszka waliło młotem. Oto miał przed sobą, o kilka kroków wspaniałe zwierzę, mógł je oglądać dokładnie jak w ogrodzie zoologicznym. Tylko, że tam widział więźnia za siatką, tutaj stał przed nim pan i mocarz leśnego państwa.

Rogacz tymczasem przestał pić i wolnym, pewnym krokiem zgiął poza kępą leszczyny. Jeszcze przez dłuższy czas słyszał chłopiec trzask gałązek, łamanych stopami olbrzyma.

W koronach drzew rozpoczęły teraz koncert gromady ptasie. Powietrze drżało od cudnych melodii. Od czasu do czasu jeden mały śpiewak rozpoczynał solowy występ i wówczas w ciszy leśnej dzwonił pojedynczy trel, później wtórzył mu olbrzymi chór różnokolorowych mieszkańców boru.

Ukryty w krzewach chłopiec nie mógł dłużej utrzymać w ukryciu uczucia radości, przepelniającego mu serce. Wy-skoczył na środek polany i zatańczył jakąś dziką radością przepojony tan, wydając głośnie okrzyki z młodej piersi. Z liśćmi leszczyny w zwichrzonych włosach, mokrymi od rosy bosymi nogami i z tą dziką radością podobny był do duszka leśnego, co okrzykiem wita wschodzące słońce. Aż poważne wrony, siedzące na szczycie potężnego dębu, ro-snącego na środku polany, spojrzały zgorszone i głośnym krakaniem napomniały śmiałka, żeby nie zapomniał, że jest intruzem w tym wielkim Królestwie leśnym.

Henryk Szabowski kl. I c.

Było ich dwu...

Poznali się na ławie szkolnej, wśród rozgwaru życia koleżeńskiego. Od pierwszego wejrzenia poznali swoje charaktery i dążenia. Pierwszy — uczeń dobry, lecz dość porywczy, drugi — człowiek opanowany i dobry. Od chwili poznania współpracowali gorąco, a pa lekcjach często było słyhać słowa: „Florianie, przyjdź do mnie. Odrobimy razem lekcje”

„Dobrze przyjdę!” — Dnie, miesiące, lata upływały szybko. Koledzy, zaprzyjaźnili się tak, że jeden radził się drugiego i nic nie czynił bez jego zgody.

W chwilach cierpień i zmagañ wspierali się otuchą i modlitwą. Ale minęły lata szkolne.. Srogi los rozdzielił kolegów. Musieli iść w przyszłość do nowych czynów.

Doktor Florian Jurski ukończył już studia prawnicze. Jako jeden z najzdolniejszych prawników, otrzymuje właśnie stypendia zagraniczne. Smutno jest mu opuszczać drogą ojczyznę, w której tyle dobrego przeżył. W mgławych wspomnieniach przypomina sobie swego przyjaciela, z którym się tak dawno rozstał. Z jaką przyjemnością spędziłby z nim te lata trudu i zmagañ.

Jest właśnie w pociągu, jadącym w stronę granicy czechosłowackiej. Do przedziału wsiada jakiś mężczyzna, równie młody jak i on. Naraz spojrzenia ich spotkały się ze sobą... I o dziwo! —

Florian znalazł przyjaciela. Wpadli sobie w ramiona.... „Gdzie jedziesz“, „Gdzie przebywałeś tak długo? — Otóż od chwili naszego rozstania upłynęło pięć lat. Dużo przeszkód musiałem pokonać, aby znaleźć się z tobą: oto po ukończeniu szkoły umarł mi ojciec. Brak do środków utrzymania, zmusił mnie do pracy fizycznej. Pracowałem przez cztery lata w kopalni, na Śląsku, w pobliżu Katowic, a zarazem zdawałem egzaminy prawnicze“

„Tak samo, jak ja!“

„A ty gdzie jedziesz?“ — „Do Wiednia!“

„Dokąd?“ — „Na studia“ — „Ja też. Ach, jaki jestem szczęśliwy, że będziemy nadal pracować razem“.

„Tak, szczęśliwy los złączył nas i da Bóg nie rozłączy“.

„Al - Ar“.

Polowanie na myszy.

(Bajeczka żartobliwa)

W pewien wieczór majowy

Wyszedł młodzian na łowy

i słucha

Młodzian dziwnie dziś głuchy.

Bo mu wpadły dwie muchy

do ucha

Serce mu, w noc tak miłą

To ustało, to biło,

czekało:

Młodzian nasz miał twarz bladą
Jak starte z czekoladą
kakao.

Wtym się ozwał chrzest taki,
Jakby deptał ktoś krzaki..
Coś trzasło

„To ona” — rzekł. O mało
Serce mu nie stopniało
jak masło.

Zapalony myśliwy
Czyż oczekiwał „diwy”?
O nieba?

— — — — —
Młodzian pięć już lat z góry
Łowił myszy i szczury
„dla chleba!”

— — — — —
„Addis-Adela’

KĄCIK REGIONALNY.

Listy z pod pióra ludu (dokończenie) „Kumotr”
Przysłowia i wróżby na listopad „zebr. Kumotr”
Skąd się wzięła nazwa Gliśnica „Kum - Fur”

Listy z pod pióra ludu.

Dokończenie.

Po formułkach rozpoczynających następuje bardzo różnorodna treść, gdyż ona zależy od sprawy o jakiej donosi się w listach. Wśród niej wyróżniają się pozdrowienia, które są także rymowane. Jest ich bardzo wiele, jednak podaję tylko kilka:

1. Niech Cię pozdrawiam przez ten papier biały,
żeby Ci się te moje słowa spodobały.
Potem słowami tego,
co ziemia i niebo jego:
Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!
2. Teraz Cię pozdrawiam przez drobne kamyczki,

ho Cię wspominam, co siadam do miski.
A siostrę Marysie przez Anioła Stróża,
ho mi się śniła jak w ogrodzie róża
Pozdrawiam babkę przez krówkę na rowie,
żeby P. Jezus dał jej dobre zdrowie.

3. Brata Antka pozdrawiam przez kwiat róży,
żeby tu żył jak najdłużej.
4. Pozdrawiam Was przez wasze sioło,
aby Wam w święta było wesolo

Takich formułek mamy całą moc i są one ciekawe, a nieraz wesole. Jednak wróć jeszcze do treści. List jest przeważnie długi i mało treściwy. Niektóre zdarzenie wspomniane jest kilka razy. Stąd wynika, że lud, który mało czyta gazet, z przyjemnością wita listy, które przynoszą mu wiele nowości. W nich najjaskrawiej uwypatnia się wpływ języka niemieckiego. Bardzo często spotykamy rzeczowniki zaczynające się dużą literą, wyrazy i składnię niemiecką. Nieraz list mający kilka stron, składa się z kilku tylko zdań, a ponadto obfituje w błędy ortograficzne. Możemy to usprawiedliwić długą niewolą i prześladowaniem mowy polskiej, gdyż zaborca chciał ją wytępić, lecz tego nie dokonał, bo lud kocha swą mowę. List zamknięty jest rymowanym zakończeniem, których kilka podaję:

1. Na tych słowach list mój kończę
serce Twoje z moim łączę.
2. Korona wieniec — mojemu pisaniu koniec.
3. Już koniec tego liściku pisania,
bo już mam czas do spania.
Piórko mi się złamało, spać mi się zachciało.
Do widzenia, do miłego przywitania!

Prócz tego listy kończono pochwaleniem Pana Boga. Listy te obecnie zanikają, ale kilkanaście lat temu były bardzo często spotykane.

„Kumotr”

Skąd się wzięła nazwa Gliśnica.

Legenda

W rozległych borach Kurocha i Baryczy coś nieznośnie szumiało i huczało. Jelenie usłychawszy tak wielki hałas z rykiem popędziły w głąb lasu. Zdziwiło to także starego pustelnika, bo od kilku lat takiego huku nie słyszał. Przeszraszone ptactwo leśne kryło się w gęstwinach. Nagle z boru zaczęły się wynurzać kosmate woły ciągnące wozy naładowane rudą. Olok wozów biegali ludzie zziębnięci rannym

chłodem Woły posuwały się leniwie a były to oswojone tury, zaprzężone w prostą uprząż.

Nareszcie dobili do celu. Stanęli przed dwoma glinianymi piecami hutniczymi. Zaraz wrzucali do pieców stare pnie drzew, z których buhał ogień i dym. Następnie wciągali na prowizoryczne ruszłowanie rudę i wrzucali ją do pieców. Kiedy żelazo wytopiło się, jeden z mężczyzn wykuł otwory w piecach i ognista masa z szumem wylała się do przygotowanych form. Potem wydobyto z pieców zgłiszczka pozostałe z rudy, które po wystygnięciu wywożono na wzgórek obok huty. Sztaby wytopionego żelaza kuto w blachę. Służyły do tego bardzo ciężkie, bo dwucentnarowe młoty, których huk słyhać było kilka kilometrów od huty. Kuźnia była bardzo prosto urządzona i posiadała małą ilość narzędzi. Niedawno wieśniacy znaleźli dwucentnarowy młot i bardzo się zadziwili, kto mógł go podnieść. Z czasem tu powstała osada, złożona z kilka domków (kopców podziemnych.) Osadę tę nazwano Zgliszcznic, potem Glisznic, aż wreszcie po paru wiekach lud dla ułatwienia wymowy nazwał ją Głisnicą. Dziś mamy tam resztki hut i smolarni. W samej wsi znajduje się sadzawka, miejsce dawnych pieców. Obok wznosi się pagórek, utworzony ze zgłiszczek wydobywanych z pieców. Czasem na piaszczystych polach znajdzie się obszar czarny jak smoła. Tu, jak głoszą legendy miały być smolarnie.

„Kum -- Fur”

Przysłowia i wróżby na listopad.

1. Pogoda i mróz w listopada, mokry styczeń zapowiada.
2. Deszcz z początkiem listopada, na koniec grudnia mrozy zapowiada.
3. Jaki listopad taki następny maj.
4. W listopadzie grzmi, rolnik dobrze śni.
5. W listopadzie wiele wody, na łąki wiele wygody.
6. Późny grzmot tę moc ma, że wiele zboża da.
7. Czasem w listopad nie palisz i sobotę precz oddalisz, ale w grudniu musisz durniu.
8. Od tego jaki dzień trzeci, podobny się marzec kleci.

•
Zebrał „Kumotr”

KĄCIK TŁUMACZEŃ.

Lorelei.

(Według wiersza H. Heinego)

...ja wracam w rodzinne strony
a za mną pieśń leci z nad Renu..

Stała...

dumna, wyniosła, wspaniała
na szczycie góry postać czarująca;
włos biały, biały jak nadbrzeżny piasek,
wzrok bystry, zariskrzony
czarowna nimfa wodna
zwraca się we wszystkie strony
i śpiewa.

Ciche, rzewne, rozczulone
pieśni dźwięki jedną arią
płyną w zwyż — do nieba stropów,
płyną w dal — na rzeki wody
wszystkie dźwięki razem garną,
i wracają do gór stoku
w jednej potężnej, wspaniałej melodii.

A z dali —
ku zgubnej, zwodnej skale
maleńki okręt płynie szalony!
Sternik wypuścił ster z drżącej dłoni
inni żeglarze stali oniemieni
a statek — wiatrem i prądem porwany
jak orkan chyży gnał ku rafie skalnej.

... trzask, huk, zamieszanie —
załoga z statkiem zniknęła pod wodą....

A z szczytu góry
szczęśliwym żeglarzom
cudowną pieśń
dawała w darze —
przecudna Lorelei.

...wróciłem w rodzinne strony
a za mną pieśń przyszła z nad Renu..
Erte

KĄCIK HARCERSKI.

Tego jeszcze nie było. .

(Dokończenie)

Dzień zapowiadał się pogodnie. Najłżejszy podmuch wiatru nie mącił skupionej zadumy wierchów gorgańskich, ani gwaru ptaków, płynącego w puszczy — w dziewiczej prawie, w wielu miejscach nietkniętej stopą i ręką ludzką.

Wynurzające się z za góry słońce zastało nas przy myciu. Trochę zziębnięci, po chłodnej stosunkowo nocy, przystąpiliśmy do porannej gimnastyki. Zbolałe ramiona, od plecaka, od dnia poprzedniego mniej teraz dokuczały. Zresztą najgorszy pierwszy dzień marszu, a dalsze dni mniej sprawiały przykrości wszelkimi bólaczkami, zwłaszcza ramion, bo nogi to już kwestia obuwia i sił.

Żyliśmy wprowadzić wrażeniami, i żywiliśmy się pięknymi widokami, ale tego żołądek nie uznawał. Trudna rada, musieliśmy zaspokoić głód skromnym posiłkiem, i popić „przypaloną” herbatą z wody źródlanej. Jako deser przyrządził Czechu z wprawą „wygi obozowego” t. zw. w naszym języku „ladung” vel „miszung”, (Mieszanka kakao i cukru. Przyp. K. W.) którym pokrzepialiśmy się podczas marszu.

Z pod Doboszanki skierowaliśmy się z biegiem rzeki Zubrynki w kierunku Jaremcza.

Do dziś zachowała się tu droga, którą zbudowała z okraglaków Druga Brygada dla swych dział. —

Pamiętny ten okres w dziejach wojny światowej, kiedy armia rosyjska na jesieni r 1914 zajęła Małopolskę Wschodnią i wdzierając się na równiny węgierskie, forsując przełęcze Karpackie. Wtedy młode wojsko polskie, z którego utworzono później drugą brygadę Legionów zw. „Karpacką” lub „żelazną”, przegrodziła tej armii przejście. W śniegach głębokich podczas zawiei, torowały sobie krwawą drogę, pełną bohaterskich walk...

Dziś idąc tam, nie możemy pominąć wysokiego krzyża postawionego na bohaterskim szlaku, a na nim wyczytać wiersz — testament nieznanego żołnierza:

„Młodzieży polska, patrz na ten krzyż

Legiony polskie dźwignęły go wzwyż.

Przechodząc góry, doliny i wały.

Do Ciebie, Polsko, i dla Twej chwały.”

Idąc w ponurym milczeniu przystawialiśmy co chwilę...
O, tu szczątki mostu nad głębokim strumykiem... Omijamy

przeszkodę, i znów zatrzymuje nas widok tamy, zniszczonej zębem czasu, gdzie zatrzymywano wodę i skąd ścięte pnie drzewne puszczono z prądem zebranej wody tam, gdzie brakowało drzewa do budowy drogi... To znów z innej strony leżały pokotem powalone świerki, strzaskano pociskami...

Po trzech godzinach uciążliwego marszu, po zwilżonych i na pół zniszczonych okrągłakach, doszliśmy do kolejki leśnej, biegnącej wzdłuż Zielenicy.

Na obszernej polanie, otoczonej огоłoconymi, prawie z drzew wzgórkami, bielity się ścięte pnie drzew, poukładane, gotowe do wywozu. Z żalem patrzyliśmy na to zniszczenie, gdy ostatnie smukłe świerki z trzaskiem i łoskotem staczały się ze wzgórza w dolinę.

Odpoczywaliśmy. Gdzieś w pobliżu dochodził skrzyp zbliżającego się wozu. Wnet wynurzyła się furmanka, zaprzągnięta w dwa mizerne niskie konie. Woznica' z głową spuszczoną, zda się drzemał, albo dumał nad swym ciężkim losem. Zobaczywszy nas jakgdyby się ożywił.

Energicznym ruchem ściągnął lejce.

Konie stanęły.

— Panowie, tedy droga do schroniska?

Niezwłocznie udzieliliśmy mu potrzebnych informacji.

— Tak, droga prowadzi wprost do schroniska, wolnym krokiem za cztery godziny na miejscu.

— A która teraz godzina?

— Dwunasta.

— Dziękuję. — Odwrócił się do koni, smagnął niedbale biczem, i zółwim krokiem potoczył się wóz po wyboistej drodze, przechylając się raz na lewą, to znów na prawą stronę. Wzrokiem odprowadziliśmy go do najbliższego zakrętu, a ze zniknięciem łowiliśmy słuchem nieregularnym, i z każdą chwilą oddalający się turkot

Po półgodzinnym marszu, wzdłuż toru kolejki, weszliśmy na drogę prowadzącą przez wzgórza do Jaremcza. Długi marsz zaczął nas nudzić, tym bardziej że szliśmy zaraz przez tereny mało malownicze.

Im bliżej Jaremcza, otoczenie stopniowo się zmieniało, coraz więcej wskazywało na ślady pracy ludzkiej, aż wreszcie spotkalismy starszą panią, idącą na spacer.

Było to dla nas niezawodnych znakiem, że jesteśmy tuż u celu, w Jaremczu.

Coraz częściej mijaliśmy teraz rozbawione towarzystwa, letników i turystów.

Doszliśmy do Prutu, do którego przytuliło się Jarem-

cze, tonąc w otaczających je zewsząd lasach. Piękna okolica, tereny wspaniałe dla turystów, pełne potoków, wodospadów, dzikich grani. W samym Jaremczu, piękny, wysoko się wznoszący wiadukt kolejowy, o rozpiętości 65 metrów, zadziwia przybysza swą budową, a w pobliżu wodospad Prutu szumem spadającej wody przyciąga żądnych nowego widoku. Tuż za Jaremczem olbrzymi głaz z krzyżem na wierzchołku zwraca na siebie uwagę — to „kamień Dobosza”, legendarnego zbójnika Hucula, o którym różne krążą legendy.

W lesie znajdujemy „Komory Dobosza”, w których on szukał schronienia i ukrywał swoje skarby.

Jednak panoramę tego malowniczego zakątka plamia budynki, najczęściej niedostosowane do otoczenia ani w treści, ani w formie.

Mieliśmy też miłą niespodziankę. W Jamnie, w harcerskim domu rodziny kolejowej, obozowały harcerki ze Lwowa które zaprosiły nas na podwieczorek. Któżby odmówił zaproszenia gościnnym lwowiankom. Czuliśmy się wprawdzie jak błogosławieni między lwowiankami, ale wesół nastrój tam panujący udzielił się nam również. Bawiliśmy się wesoło.

Słodkie życie wiodły te harcerki, bo nawet na miodzie nie zhywało.

Pokrzepieni na duchu i na ciele, opuszczaliśmy ich obóz, tryskający beztroskim życiem i wesołością.

Gwałtownie zachmurzenie i zbliżająca się noc nie przerażały nas. Zaczął padać drobny deszcz, który raz wzmagął się, to znów rosł, i tak w miarę przypływu chmur.

Schroniliśmy się na stację kolejową w nadziei, że wnet padać przestanie. Długo na to nie czekaliśmy, natomiast nastąpiły egipskie ciemności. Oświecając więc sobie drogę lampkami elektrycznymi, kierowaliśmy się w stronę Mikuliczyna.

Szosa opustoszała. W pensjonatach stojących samotnie wśród wzgórz i drzew, gorzało od światła, od których rozplywały się luny.

Deszcz zaczął padać na nowo. Podeszwy rozmoczone w błocie mało chroniły nogi, stopy poczęły palić.

Dalej iść niepodobienstwo bez narażenia się na odparzenie nóg.

Ostatni etap z Mikuliczyna do Tatarowa (10 km) przebyliśmy koleją.

Była godzina 12 w nocy, gdy wchodziliśmy do obozu, pogrążonego w głębokim śnie. Przed nami zamajaczyła po-

stać wartownika, czuwającego nad bezpieczeństwem śpiących towarzyszy - harcerzy.

W ciszy wsunęliśmy się do namiotu. Pełni odniesionych wrażeń zasnęliśmy, zapominając o trudach i zmęczeniu.

Panorama marszruty głęboko utkwiała w pamięci, a piękna jej nikt nie zdoła odmalować i odtworzyć, jak tylko sama natura w oku turysty.

Milmaksy

Regulamin sztandarowy.

A. Poczet.

1. Miejscem przechowywania sztandaru jest pokój dyrektorski (kancelaria.)
2. O każdorazowym użyciu sztandaru decyduje Dyrekcja.
3. Skład pocztu sztandarowego zatwierdza Dyrekcja na wniosek opiekunów kl. VII i VIII.
4. Poczet sztandarowy składa się z trzech uczniów: jednego chorążego i dwóch przybocznych.
5. Muszą to być uczniowie wzorowi: a) mniej więcej jednakowego wzrostu. b) dobrej prezencji zewnętrznej, c) jednolicie umundurowani.

B. Zachowanie się młodzieży w auli wobec sztandaru.

1. Poczet sztandarowy wchodzi do auli dopiero, gdy: a) wszyscy się w niej zebrali. b) gdy zapanował spokój.
2. Zbliżanie się pocztu sztandarowego oznajmia młodzieży profesor, oficer rezerwy, hasłem „powstań,” po tym daje komendę „baczność.”
3. Na hasło to wszyscy wstają z miejsc i stoją w podstawie na „Baczność,” aż do dojścia pocztu sztandarowego do oznaczonego miejsca; wtedy pada komenda „Spocznij,” „Siadać.”
4. Ta sama forma obowiązuje po zakończeniu uroczystości przy odprowadzaniu sztandaru.

C. Zachowanie się na dziedzińcu.

1. Przed wyruszeniem na defiladę lub inną uroczystość młodzieży gromadzi się na dużym dziedzińcu.
2. Celem oddania czci sztandarowi uczeń dowodzący całością daje komendę do sfrontowania całości w ten sposób, by klasa najwyższa była na prawym skrzydle; wyrównuje całość, daje komendę „Baczność, na lewo patrz” i t. d.
3. Wówczas wkracza poczet sztandarowy z małego dziedzińca na duży, przechodzi wzdłuż frontu całości — w odległości 5 kroków i ustawia się na prawym skrzydle.
4. Pada komenda „Baczność,” „Spocznij” i t. d.

Członkami Drukarni Powszechnej J. Baka i R. Górskiego
w Ostrowie Wlkp., ul. Kaliska 31 a.

(Nakładem T. T. Z-tu)

KÓŁKO POLONISTYCZNE

URZĄDZA z OKAZJI 20-tej ROCZNICY
ŚMIERCI HENRYKA SIENKIEWICZA

U R O C Z Y S T A AKADEMIE

W AULI GIMNAZJUM MĘSKIEGO,
DNIA 4-go GRUDNIA 1936 ROKU.

BOGATA TREŚĆ!

INSCENIZACJA DZIEŁ SIEŃKIEWICZA!

ŚPIEW — MUZYKA!